

stada świadczy o dokarmianiu zwierząt mączkami pochodzenia odzwierzęcego. Ludzie kupujący dziczyznę chcą jeść mięso z istotnie dzikiego zwierzęcia. Zwłaszcza łosina, która zawdzięcza swój odmienny smak niespotykanej wybiórczości zwierzęcia, przestałaby być rarytasem. Jednakże położenie fermy w pobliżu bagna lub jeziora czy rzeki, w otoczeniu młodniaków brzoźowych, olchowych i sosnowych na pewno dałoby pożądaną skutek. W różnych państwach fermowy chów zwierzyny płowej ma charakter drugorzędny – nie stanowi podstawowej produkcji, ale dodatkowe jej wsparcie. Wydaje się jednak możliwe wypasanie na tym samym terenie np. krów, owiec czy koni, żywiących się roślinnością trawiastą, a po pewnym czasie łośi, preferującymi pędy młodych drzew i krzewów.

Możliwości jakie stwarza Plan Rozwoju Obszarów Wiejskich, szczególnie w dziedzinie pielęgnacji pastwisk ekstensywnych, pozwalają na wykorzystanie do tych celów utrzymywanej na specjalnych fermach zwierzyny płowej, której jednym z przedstawicieli jest łoś europejski.

Literatura: 1. **Dzięciołowski R.**, 1967 – *Łowiec Polski* 7, 15. 2. **Dzięciołowski R., Pielowski Z.**, 1975 – *Łoś*. PWRiL, Warszawa, 3. **Gustawicz B.**, 1901 – Geograficzny zasięg łośia ongi i dzisiaj. Drukarnia Ludowa, Lwów 4. **Jaczewski Z.**, 1979 – *Łowiec Polski* 20, 7. 5. **Kaniewski W.**, 1976 – *Łowiec Polski* 23-24, 14. 6. **Korsak W.**, 1934 – *Łoś*. Państwowa Rada Ochrony Przyrody. 7. **Matzke P.**, 1999 – *Chów zagrodowy dziczyzny w świecie*. Konferencja nt. „Metody znakowania zwierząt w celu identyfikacji produktów pochodzenia zwierzęcego”. Popielno 7-10 VI. 8. **Siedlewski Z.**, 2000 – *Łowiec Polski* 8, 22-23. 9. *Wielka Encyklopedia Powszechna*, 1968 – PWN, Warszawa.

Dzień szósty stworzenia i ...

Piotr Skrijka

AR w Krakowie

„I stało się. Bóg wyrzekł twórcze swe słowo, a oto ziemia zapełnia się bydłem co pożytek niesie w gospodarstwie domowym” (Stary Testament). Potem były rytualne (sakralne) żerty (ofiary) z tych zwierząt, składane Bogu w Jego obliczu na ofiarnych ołtarzach w czasach Ahama (Abrahama) i Mojżesza. Tak więc o zabijaniu zwierząt, bo tego właśnie dotyczy niniejszy artykuł, dowiadujemy się już ze Starego Testamentu.

Powinniśmy też przypomnieć sobie nie tylko początki judeo-chrześcijaństwa, lecz także znane nam ze starych jaskiniowych rycin i odkryć archeologicznych, i w końcu z podręczników szkolnych, pierwsze polowania na zwierzęta dzikie, zabijane, jak się można domyślić, w sposób dość okrutny i prymitywny. Jest bowiem rzeczą bezsporną, że i z pierwszym, i z drugim wciąż mamy jakieś związki ewolucyjne, historyczne, kulturowe, i także, w pewnym sensie, genetyczne, władające naszym, zbrodniczym niejako, rozstawaniem się ze zwierzętami. Nie jest to więc żadnym późniejszym wymysłem cywilizacyjnym, lecz ciągnie się za nami od samego początku. Taki po prostu odziedziczyliśmy spadek po naszych przaprzodkach, nie po tych pierwszych – Adamie i Ewie, bo ci, jak wiemy, zjadali owoce, lecz po tych następnych – Abrahamie, Mojżeszu i innych. Do dzisiaj jeszcze zachowały się w wystroju liturgicznym ofiarne ołtarze w świątyniach obrządku ormiańskiego (starego, tradycyjnie chrześcijańskiego), gregoriańskiego, służące już bardziej, chociaż nie wyłącznie, do poświęcania zwierząt ofiarnych (jagniąt, gołębi, kogutów), zarzynanych później w domu i spożywanych, w rodzinie i razem z sąsiadami, w formie modlitwy, w jakichś intencjach. Kościół ten, zarządzany przez suwerennego katolikosą (patriarchę), bardzo silnie nawiązuje do Starego Testamentu. To na terenach Armenii miał być biblijny potop, a Noe, święty ormiański,

osiadł swoją krypą na ormiańskiej górze Ararat (obecnie w Turcji).

Początkowe polowania, o których wspominałem bez aprobaty, pozostały reliktem w dzisiejszych, już całkiem humanitarnych i wręcz kulturowych, a więc cywilizacyjnie poprawnych oraz przyrodniczo pożytecznych, formach. Nie chcę tu powiedzieć, że rytualne zabijanie zwierząt w ofierze dla Boga, jak opowiada nam o tym Stary Testament, przerodziło się w dzisiejszy masowy ubój świecki dla pozyskania mięsa. Wręcz przeciwnie, są w Starym Testamencie wzmianki o tym, że zabijanie zwierząt dla siebie, a więc nie dla Boga, było uważane za niewybaczalne sprzeniewierzenie się prawnemu porządkowi bożemu, za przestępstwo, być może, że było to nawet jedno z największych wówczas wykroczeń (w sensie grzechu). Przeciwnie Chrystus unikał później, w Nowym Testamencie, mięsa zwierząt, a ofiarę dla Boga uczynił z wina i chleba.

Ale mamy też w Nowym Testamencie marnotrawnego syna i historię z cielęciami, a więc już z całkiem legalnym świeckim ubojem. Moc Starego Prawa przestała już obowiązywać. Dawne rytualne prawo boże zostało, w zbuntowany sposób, sponiewierane. Mówiąc inaczej, stary święty obyczaj najwyraźniej się przewartościował i stał się normalnym, już nie obyczajem tylko zwyczajem, bez żadnej prawnej i sakralnej nadbudowy, która trzymałaby go w jakichś zastrzeżonych ryzach, a więc stał się zwyczajem bez grzechu, bez konsekwencji, ale, mimo wszystko, wątpliwym moralnie i etycznie, bo obciążonym ludzkimi wadami. Można by więc powiedzieć, że przykład się przyjął, fałszywie czy nie, ale się przyjął. Kto miał cielę mógł je zarznąć dla jakiegoś swojego celu, na przykład robiąc ucztę dla marnotrawnego syna.

Czy zatem my, marnotrawni, nie mamy prawa zarznąć dla siebie cielęciami? Mamy. Żaden zakon boży nam tego nie zabrania. Sprawa jednak nie jest taka prosta jakby się wydawało. Może, i na pewno, mamy jakieś, najwyższe, przyzwolenie na zabijanie zwierząt, ale nie mamy takiego przyzwolenia na robienie tego w sposób okrutny i zbrodniczy, jak to na ogół ma miejsce. I tu zaczyna się cała głębia problemu, bo jesteśmy w tym osamotnieni, pozostawieni tylko z naszym rozumem, który nie wszystko może w tej kwestii zrozumieć i z naszymi uczuciami do zwierząt, które też nie są najprzedniejsze i bywają różne, bo poddawane ciągłej weryfikacji nastrojów i humorów, i co najgorsze, zawsze kończące się fałszywie.

Rzecz bowiem w tym, że zwierzęta to nie rośliny, które można żąć sierpem, ścinać kosą, rąbać siekierą, a one niczego nie czują, niczego nie przeżywają, bo nie mają unerwienia, nie mają swojej psychiki, nie mają swoich uczuć. My je ścinamy, a one wdzięczą się do nas swoją piękną zielenią, swoimi barwnymi kwiatami i swoim wonnym aromatem. Są nam przyjazne i nie czują przed nami strachu. Ale rośliny nigdy nie umierają. Są wieczne, bo odtwarzają się zawsze, idealnie, w swoich klonach; są więc zawsze te same i takie same. Ze zwierzętami natomiast jest całkiem inaczej. Zwierzęta są inne. Mają odrębną, osobniczą, konstrukcję genetyczną. Nie są masowymi klonami. A ponadto są nam bardzo bliskie w sensie emocjonalnym i fizjologicznym, podobnie jak my mają własne uczucia, tak samo też odczuwają niepokój, strach, ból, żal, a nade wszystko, tak jak i my, mają instynktowne pragnienie życia, bo, tak jak i my, mają tylko jedno indywidualne życie. Nie są wieczne jak rośliny. Te, które pozostają przy życiu, nie są już nigdy te same, tylko podobne do tamtych. Stąd wynika zapewne ten strach przed utratą życia u ludzi i zwierząt. I my, i one istniejemy biologicznie tylko raz, i tylko wtedy, kiedy żyjemy. Trudno się więc i nam, i im dziwić, że tak silnie pragniemy żyć. Pytaniem jest jednak, czy ten instynkt trwania przy życiu powinniśmy u zwierząt uszanować i uznać go za świadomy, a więc święty, czy traktować go tylko jako neurologiczny odruch nieświadomego lub tylko instynktowego lęku? Nasze pragnienie życia jest inne, jest świadome, rozbudzane i podtrzymywane przez rozum, inteligencję, i nasz, pełny sensu, cel, cel dalszej twórczej pracy. Dalej różnica polega na tym, że mamy inny sens życia niż zwierzęta. Zwierzęta nie mają tak jak my inteligentnego sensu życia, będącego syntetyczną jednością z życiem biologicznym. Sensem życia zwierząt jest życie technologiczne i tylko w tym czasie. Później ten sens tracą. Oznacza to wprost, że osiągają w pewnym momencie dojrzałość albo starość techniczną, czasem, jak u jagniąt i cieląt, bardzo wczesną, a u starszych także dużo wcześniejszą od genetycznej starości biologicznej, całkowicie niepotrzebnej, bo pozbawionej twórczości i bezsensownej już dla przyrody. Przyroda potrzebuje młodości, a nie starości. Inaczej utraciłaby swoją wieczność. Innymi słowy, wieczność przyrody polega na nieustannym procesie odtwarzania się. Jest to proces napędzany tylko i wyłącznie energią młodości. Starość nie jest przyrodzie potrzebna. Jest zatem rzeczą zrozumiałą, że przyroda nie chce nikomu płacić emerytury. Dlatego nie zatrudnia swoich lekarzy. Nikogo nie usiłuje na siłę trzymać przy starczym wieku. Jedynie inaczej rozdziela czas życia swoim różnym rodzajom i gatunkom. Jednym daje tego czasu mniej, innym więcej, ale nikomu ponad potrzebną jej miarę. Nie potrzebne są jej bowiem ani żywe, muzealne archiwa, ani żywe pomniki. Przyroda „myśli” bardzo ekonomicznie i oszczędnie włada swoją żywą substancją, od której wymaga intensywnej pracy twórczej, biologicznej i inteligentnej. Ekonomia przyrody jest nadrzędna, jest bezwzględna, jest matematyczna.

Nasza, ludzka starość jest, jak się zdaje, nieco inaczej w kalkulowana w tę ekonomię przyrody, bo chociaż traci energię rozrodczą, to wciąż posiada duże zapasy energii inteligentnej, bardzo ważnej dla przyrody. Czym zatem jest ludzka starość? Jest tylko przegranym przetargiem na roboty publiczne, ale zostają nam jeszcze roboty społeczne, może nawet ważniejsze niż tamte, bo na etacie bożym, na etacie inteligentnego sensu życia, który trwa tak długo, jak długie jest nasze życie biologiczne. Można by więc powiedzieć, że przy-

rodzie zależy na naszym długim życiu, podczas gdy długowieczność zwierząt nie jest jej potrzebna. My, za nasze przedłużające się życie, poza czas biologicznego i społecznego pragmatyzmu, płacimy przyrodzie naszą inteligencją. Zwierzęta nie są inteligentne w sensie twórczym, są inteligentne tylko w sensie biologicznym, nie mają więc czym płacić przyrodzie w swojej starości. Inaczej mówiąc, starość zwierząt już na jej początku, tj. w momencie dojrzałości technologicznej, przetwarza się w wartość ekonomiczną, ale nie w ekonomii przyrody, tylko w naszej, ludzkiej. Zwierzęta najwyraźniej, jak się zdaje, same odczuwają, że spełniły już swoje życiowe zadania, że rola ich się już zakończyła. Wystarczyłoby tu posłużyć się przykładem gęsi, które po trzech miesiącach tuczu w miarę intensywnego albo po czterech mniej intensywnego, tj. po dojrzeniu do dojrzałości technicznej, popadają w stan przypominający głęboką depresję, całkowicie tracą apetyt, stają się smutne, jakby przygębione i przestają być nawet płochliwe. Tak więc, z technologicznego i przyrodniczego punktu widzenia, zabijanie zwierząt hodowlanych jest naszą, ludzką czy dokładniej rolniczą powinnością i może nawet humanitarną koniecznością. Ale jeżeli tylko tak będziemy rozumować, to łatwo dojdziemy do jakiegoś zoo-nazizmu. Wciąż bowiem cieniem na tym rozumowaniu kładzie się, mimo wszystko, jakiś niepokój moralny. Być może usiłuję rozprawić się z tym zagadnieniem w sposób uproszczony. Psycholog, filozof czy duchowny, uzbrojony w pełną skrzynkę różnych ostrych i tępych narzędzi, rozpatrywałby to inaczej i na pewno w sposób bardziej zagmatwany, aby uniknąć w ogóle jakiegokolwiek jasnej wypowiedzi czy odpowiedzi, ale ja jestem tylko rolnikiem i staram się myśleć tylko jako rolnik i człowiek wierzący.

Zwierzęta to nie kosmici, o których Stanisław Lem mówi, że „(...) żywot swój zawdzięczają nie temu, co w nich jest, bo w nich nic nie ma, jeno temu, co ich otacza”. Ze zwierzętami jest odwrotnie – żyją, bo swój żywot zawdzięczają temu, że coś w nich jest, a przestają czasem żyć tylko dlatego, że my je otaczamy.

Chciałbym tu też, i to z wielkim szacunkiem, zacytować Jerzego Nowosielskiego, wybitnego malarza (byłego profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych) i zarazem jednego z najwybitniejszych w Polsce myślicieli i znawców religii. Znam go też jako człowieka głęboko wierzącego (był kiedyś, przez dwa lata mnichem w sławnym poczajewskim monasterze na Ukrainie). A oto jego słowa: „Jak na przykład ma się ustosunkować Kościół chrześcijański do cierpienia zwierząt? Jak ma duchowo opiekować się ludźmi takimi na przykład jak hodowcy, którzy muszą albo sami zabijać, albo odprowadzać na okrutną śmierć zwierzęta, z którymi przecież, o ile nie są całkiem jeszcze surowym prymitywem, muszą posiadać jakąś więź uczuciową. Powraca problem katar: nie ma on żadnego grzechu. Jak jednak wmówić człowiekowi, że nie ma grzechu, skoro on sam dobrze wie, że go ma” (Inność Prawostawia. Anafora, 1999).

Jest jakimś paradoksem, chociaż nie całkowitym, że w tę jakby religijną pustkę, o której wspomina Jerzy Nowosielski, wchodzi świecka „sekt” zielonych (ekologów). Jeżeli w czasach Abrahama i Mojżesza zwierzęta zarzynano w sposób sakralny, przed obliczem Boga, jak już o tym wspomniałem na początku, to „(...) my dzisiaj mamy o wiele gorszą sytuację. Zwierzęta zarzynane są w sposób świecki, laicki” (jak zauważa Jerzy Nowosielski).

Jednak musimy to robić. W jakimś sensie rozgrzeszają nas przykłady ze Starego i Nowego Testamentu. To one są, obojętnie czy sobie to uświadamiamy, czy nie, jakby moralną podstawą i usprawiedliwieniem naszych krwawych rozstań ze zwierzętami. Sytuację ułatwia nam też, w pewnym sensie, i to, że w chrześcijaństwie nie ma, tak jak na przykład w orientalnym hinduizmie, pośmiertnych losów zwierząt. Nie musimy więc rozpatrywać zabijania zwierząt w kategoriach grzechu, chociaż możemy go odczuwać i z pewnością odczuwamy. Bardzo trafnie zauważył to Jerzy Nowosielski. To dobrze, że tak wielki intelekt wypowiada się w tej sprawie. Jest to niezwykłą rzadkością w polskim, rezerwatowym na ogół, życiu intelektualnym, bardzo niechętnie wychodzącym, chyba że na siłę wypychanym przez jakieś wydarzenia, poza swój obręb. Jerzy Nowosielski ma z rolnictwem tylko tyle wspólnego, że jego ojciec pochodził z wsi Odrzechowej (dawna Odrzychowa) koło Sanoka. To pięknie z jego strony, że przypomina nam, że należy rozpatrywać to także w kategoriach niewątpliwego cierpienia rolnika, który te zwierzęta hodował, przyjaźnił się z nimi, przywykał do nich, lubił je, darzył sympatią i często bywał z nich dumny, by potem własnoręcznie je zabijać albo skazywać własnym wyrokiem na zabijanie, oddając je za pieniądze, dla zysku, rzeźnikom do masowego uboju, w specjalnie przygotowanych do tego rzeźniach. Niech nikt nie myśli, że rolnik nie cierpi za każdym razem z tego powodu. Cierpi, i to bardzo, i to jest najgorszą stroną każdej hodowli, zawodu chyba najpiękniejszego i prawie świętego, i w końcu okrutnego, ze smutnym i silnie stresującym zakończeniem rozstania. Wszystko jednak mieści się w tragedii istnienia ludzi i zwierząt. W tragedii duchowej i uczuciowej, i logicznie niepojętej, nie dającej się wytłumaczyć, bo wykraczającej poza horyzonty ludzkiego rozumu i ludzkiej świadomości. My, chrześcijanie, nie jesteśmy w tym bynajmniej osamotnieni, problem ten istnieje we wszystkich trzech religiach abrahamicznych (judaizmie, chrześcijaństwie i islamie). Cało wychodzi z tego tylko hinduizm.

Wydaje się nam, że zabijając zwierzęta postępujemy zgodnie z prawem natury, któremu patronuje sam Bóg. Nie mamy wyboru, musimy jeść mięso, musimy przetrwać. Przecież Bóg nam powiedział: „Żyćcie i rozmnażajcie się”. Musimy spełnić Jego wolę. Musimy zachować w przyrodzie nasz – ludzki – gatunek. Bez nas, bez ludzi, przyroda straciłaby swój sens istnienia. Tak więc pozyskiwanie mięsa jest naszą podstawową życiową powinnością, w naszej walce o byt. Nie ważne już, czy jest powinnością normalną, pierworodną, czy zwyrodniałą. Tak czy inaczej, jest powinnością. Powinnością naszą jest też hodowla zwierząt, bo inaczej musielibyśmy uprawiać kanibalizm. Hodując zwierzęta i jedząc mięso podtrzymujemy przy życiu nie tylko siebie, ale – wbrew pozorom – także zwierzęta. Wszystkich przecież nie zjadamy. W konsekwencji podtrzymujemy też jedno z najważniejszych praw w przyrodzie – prawo zachowania gatunku, i to nie tylko naszego, i nie tylko naszych zwierząt hodowlanych, ale także wielu gatunków ze wszystkich rodzajów fauny i flory.

Są to jednak tylko słowa usprawiedliwiania się i pocieszania, i to przy pomocy ułomnej logiki. Zabijamy i będziemy zabijać zwierzęta bo musimy, bo nie mamy wyboru. Mamy jednak inny wybór, który pozostaje wciąż nierozwiązanym problemem. Mam tu na myśli sposób zabijania różnych gatunków zwierząt, by był on w miarę humanitarny i cywilizowany. Przywołałem powyżej historię z marnotrawnym synem i cielcem, bo jest w niej bardzo istotny, moim zdaniem (o zasad-

niczym znaczeniu dla niniejszego artykułu), szczegół. Otóż w polskojęzycznym Piśmie Świętym jest mowa o zabiciu albo zarznięciu cielęcia. Znam także w szczegółach Pismo Święte w innym języku i tam mówi się o zakłuciu cielęcia. To z kolei słowo wskazywałoby na jakiś delikatniejszy sposób pozbawienia życia cielęcia. Wiem, że taki sposób istniał i istnieje nadal w niektórych kulturach. U nas posługiwali się nim dawniej Cyganie (Romowie). Przyczepiam się do tych dwóch słów, bo to drugie (mówiące o zakłuciu) wydaje mi się być trafniej przetłumaczone z hebrajskiego albo ze starego greckiego pierwoźródła.

Nie słowa są tu jednak najważniejsze, ważna jest technika uboju i jej właśnie chciałbym poświęcić najwięcej uwagi. To, że ubój zwierząt jest koniecznością, nie ulega dyskusji. Fachowej dyskusji, a nie żadnej innej, należałoby wreszcie poddać technikę uboju w gospodarstwach chłopskich wraz z całą psychologią towarzyszącą tej czynności. W układzie przyjaźni, prawdziwej i szczerzej, wytwarza się nagle sytuacja anormalna, w której po jednej stronie występuje przyjaciel (ofiara), a po drugiej – przyjaciel kat (zabójca) i wszystko mieści się w prawnym porządku natury. Nie można jednak zapominać, że obok tego porządku są jeszcze chwilowe emocje i przeżycia psychiczne oraz cierpienia po obu stronach, które temu porządkowi nie podlegają, umykają mu i istnieją poza nim. A skoro nie podlegają porządkowi, to nie dają się kontrolować i przez to stają się ekscesami chorobowymi o naturze subklinicznej (ukrytej), w pierwszym przypadku uleczalnymi tylko przez śmierć (zwierzęcia), a w drugim przez czas, przez zapomnienie (człowieka), co oznacza, że człowiek dłużej ponosi konsekwencję tego czynu niż zwierzę i kto wie, czy nie jest większą w tym ofiarą. Może nie najgorszy nawet jest w tym sam fakt popełnienia tej niby zbrodni – uboju, bo żadnej zbrodni w tym nie ma, ale jest za to w pełni prawdziwie co inne, równie jakby niegodziwe, to mianowicie, że rolnik hodowca musi w końcu popatrzeć zwierzęciu prosto w oczy i powiedzieć – byłem fałszywym przyjacielem. A byłby jeszcze bardziej fałszywy, gdyby powiedział mu – wybacz. Ten fałsz i ta przyjaźń są od samego początku autentyczne i od siebie niezależne, wkalkulowane w każdą hodowlę. Czy zwierzę wybaczyłoby rolnikowi ten fałsz, to oszustwo, choć oszustwa, tak jak i zbrodni, też w tym nie ma? Nie. Nigdy by mu nie wybaczyło – i rolnik o tym wie, i to go gnębi przez jakiś czas.

Przyjaźń zwierzęcia z człowiekiem jest prawdziwsza, bardziej autentyczna i trwała, bez żadnego fałszu. Najlepszym dowodem na to jest tęsknota zwierząt za swoim hodowcą. Ileż jest ucieczek, ile powrotów krów czy koni po sprzedaniu ich innemu rolnikowi. Jest i lepszy przykład. Żaden mądry rolnik (hodowca koni) nigdy nie będzie obecny przy trzebieniu młodego ogiera, bo wie, że ten miałby zawsze do niego żal o to, że go nie bronił, i nigdy by mu tego nie wybaczył.

Pytanie więc jest proste – jak zminimalizować cierpienie zwierzęcia (ofiary) i jak zminimalizować, i skrócić cierpienie rolnika (zabójcy). I pytanie drugie – czy powinno się zabijać zwierzęta na oczach innych zwierząt, co w Polsce jest prawie normalnością, zwłaszcza w dużych rzeźniach. Nad tym właśnie należałoby rozpocząć fachową dyskusję. Powinni wziąć w niej udział, np. na łamach „Przeglądu Hodowlanego”, specjaliści od anatomii, fizjologii, psychologii zwierząt, technologii mięsa, a także intelektualni, duchowni i inni. Nie próbuję tu bynajmniej robić z tego jakiegoś wielkiego, ani historycznego, problemu. Wszystko może spokojnie pozostać po staremu

i nic się nie będzie działo. Jeżeli nawołuję do takiego „pospolitego ruszenia”, to dlatego, że wiem, że w historii rolnictwa innych krajów: Anglii, Francji i Niemiec, było wiele takich pospolitych ruszeń, w które bardzo mocno angażowały się sfery intelektualne i duchowne („Wieś i Doradztwo” 3, 1999). W Polsce nie należało to nigdy do tradycji. Nie należało, bo polscy intelektualiści zbyt łatwo zapominają o rodzimej gnojówce. Wszyscy, polscy intelektualiści i nie tylko oni, od razu wznoszą się na wysokość lotów jaskółek i łowią, gdzie się tylko da, swoje muchy, nie dostrzegając już, że pod nimi jest jeszcze ziemia, jest jeszcze rola, że są rolnicy, zwierzęta i rośliny. Rezultaty są znane, nie trzeba ich tu przybliżać.

Dyskusja taka, gdyby do niej doszło, powinna zakończyć się opracowaniem poradnika, jak humanitarnie, w sposób cywilizowany i w miarę bezstresowy dokonywać uboju różnych gatunków zwierząt w gospodarstwach rolnych. Jest bowiem w tej materii tyle sposobów, ile przypadków. Przydałby się też jakiś poradnik, jak na co dzień postępować ze zwierzętami hodowlanymi, gospodarskimi. Z tym też nie jest w Polsce najlepiej. Można by nawet powiedzieć, że jest bardzo źle. Znam sytuację i wiem wiele na ten temat. Wiemy już jak obchodzić się z psami, kotami, kanarkami, papugami i nawet węzami. Znamy, i to nieźle, właśnie z różnych poradników, psychologii tych zwierząt i umiemy się z nimi kontaktować, potrafimy

je zrozumieć. Znamy też i to stosunkowo dobrze, a nawet bardzo dobrze, nasze konie. Sam wychowałem się z końmi i mógłbym napisać o nich książkę. Wciąż jednak niewiele wiemy o takich egzotycznych zwierzętach, jak nasze bydło, nasze świnie, kozy, owce i króliki, nie mówiąc już o ptactwie gospodarskim. Przecież te zwierzęta też mają swoją psychikę, swoje zwyczaje, swoje wymagania i swoje oczekiwania.

Już dawno temu pisałem („Przegląd Hodowlany” 7, 1999), że zwierzęta zawsze pragną się porozumieć z rolnikiem, tylko rolnik nie zawsze potrafi to zauważyć i zrozumieć. Wiem, że np. w Niemczech jeszcze przed wojną były takie poradniki i nauczano tego w szkołach rolniczych. Spotkałem się z takimi poradnikami, bo i mnie uczyli, już po wojnie oczywiście, wspaniali niemieccy profesorowie, zootechnicy. Dlaczego w Polsce, i nie tylko w Polsce, są takie braki w zoo-kulturze na wsi? Można by to wytłumaczyć w prosty sposób. Otóż w Polsce i innych krajach słowiańskich bydłem, świniami, kozami, królikami i drobiem zajmowały się tradycyjnie kobiety, mężczyźni opiekowali się na stałe tylko końmi. Nic więc dziwnego, bo kobiety nigdy nie miały wystarczająco dużo czasu, by przebywać ze swoimi zwierzętami dłużej i lepiej je poznać. Miały dość innych zajęć. Nie próbuję tu wcale rzucić wszystkiego na kobiety. Nikt nie zliczy ile też wylały wiejskie kobiety, gdy musiały rozstawać się ze swoimi zwierzętami.



**Małopolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Krakowie z/s w Karniowicach
Oddział w Nawojowej**

Organizuje regionalną wystawę rolniczą

agro PROMOCJA '2004

POD HONOROWYM PATRONATEM
MINISTRA ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Termin wystawy: 11 - 12 września 2004 r.

Miejsce wystawy: Nawojowa k/Nowego Sącza obiekty Zespołu Szkół Rolniczych i MODR Oddział w Nawojowej

Zapraszamy wystawców, którzy chcieliby zaprezentować swoje wyroby i usługi związane z branżami:

- maszyny oraz urządzenia do produkcji rolnej, ogrodniczej i przetwórstwa rolno-spożywczego
- środki do produkcji rolnej, krzewy owocowe i ozdobne oraz kwiaty
- rzemiosło i rękodzieło ludowe
- technologie i materiały budowlane

Zapraszamy również wystawców, którzy chcieliby zaprezentować inne wyroby i usługi związane z rolnictwem.

Zainteresowane firmy udziałem w wystawie prosimy o kontakt do dnia 27 sierpnia 2004 roku z
Małopolskim Ośrodkiem Doradztwa Rolniczego w Krakowie z/s w Karniowicach

Oddział w Nawojowej

33-335 Nawojowa 1

tel/fax (0xxx18) 445-72-76, 445-70-36, 445-70-39

e-mail: modr_nawojowa@ns.medianet.pl

www.modr.nsnet.pl

Nieraz byłem tego świadkiem. W Niemczech czy w Szwajcarii było całkiem inaczej. W ich kulturze rolnej zajmowanie się zwierzętami, choćby nawet samo dojenie, uważane było i jest za zbyt ciężką pracę dla kobiet. To i zoo-kultura jest tam inna, wyższa, nie obarczona żadnym efektem zniewolenia kobiet. Nie jest więc żadnym oryginalnym folklorem, ani wymysłem policji drogowej, że np. w Szwajcarii krowy mają zawsze pierwszeństwo na drodze. Żaden kierowca nie odważy się na nie zatrzeć ani nie podejmie próby wyprzedzania. Szwajcarzy po prostu dobrze znają swoje krowy (mówią nawet, że lepiej znają swoje krowy niż swoje żony) i szanują je w każdej sytuacji.

Po studiach odbywałem w Szwajcarii 12-miesięczny staż praktyczny. Pracowałem w czterech różnych gospodarstwach (w czterech kantonach). Nigdy nie słyszałem, kiedy zabijana była we wsi świnia, nie słyszałem tego nawet wtedy, gdy odbywało się to w gospodarstwie, w którym przebywałem. Dowiadywałem się o tym dopiero na obiedzie albo na kolacji. Powracam tu do właściwego tematu. Dlaczego w Polsce wszyscy we wsi słyszą, że jest świniobicie i wszyscy od razu wiedzą u kogo? Czemu to wydarzenie jest zawsze takie akustyczne? Czy musi być takie?

Właśnie świnia była powodem do napisania tego artykułu, ale przed świnia była koza i jej należy się pierwszeństwo. Koza nazywała się Zośka. Odbywałem wówczas semestralną praktykę na szóstym semestrze. Znałem Zośkę i lubiłem ją. Później widziałem jak jej właściciel, mocno starszy i trochę od urodzenia nieporadny rolnik, usiłował ją zarząć kosą. Krótко przywiązał ją do drzewa i na raty, bo musiał parę razy ostrzyć kosę, podrzynał jej gardło. Był dość głuchy i nie słyszał zapewne jak beczała. Makabra ta zakończyła się dopiero wtedy, gdy sprowadziłem pomoc. Może koza nadal drzemałaby w zakamarkach mojej pamięci, gdyby nie przypomniała mi jej kielbasiana świnia. Otóż podczas niedawnej podróży pociągami, pod sam koniec tegorocznej przerwy semestralnej, chcąc nie chcąc przysłuchiwałem się rozmowie trzech studentek krakowskich wyższych uczelni. Jedna z nich opowiadała koleżankom o świniobiciu w jej rodzinnym domu. Było to tak. Świniobójca przyszedł z dwoma kolegami. Po dłuższej, już bełkotliwej, rozmowie, jej ojciec zorientował się, że nie będzie żadnego świniobicia, jeżeli im nie postawi wódki. Po wypiciu fłaszki poczęli zbierać się do dzieła. Nie zrobili jednak tego jak należy. Niefachowo uderzona w czoło obuchem siekiery świnia, w celu jej zamroczenia, uciekła im. Poczęli ją więc łapać. Nic z tego jednak nie wyszło. Świnia była zwinna i wystraszona. Mieli jednak nad nią przewagę. Gospo-

darstwo było dobrze ogrodzone. Uzbroili się więc wszyscy, już czterej, w siekiery, pożyczając dodatkowe od sąsiadów i postanowili ją ogłuszyć na wolności, na świeżym powietrzu, ekologicznie. Gdy i to się nie udało, próbowali ją okulać, ale ona, nawet kulawa, dawała sobie z nimi radę. Poczęli ją więc, za tę niesubordynację, okładać obuchami, gdzie tylko popadło, aż wreszcie, całkowicie już rozłuszczeni, zaczęli atakować na ostro. Tego świnia już nie wytrzymała. Przed tym już nie uciekła. Nie potrafiła już obronić swojego życia, ani nawet swojej całości. A dziewczyna? Studentka? Mówiła, że nic z tej świni nie jadła i niczego nie wzięła sobie z niej do Krakowa.

Jakże niewinne wydały mi się wtedy trzy scenki z zarzynaniem jagniąt na chodniku ruchliwej ulicy w Sofii (w samo południe) i w Erewaniu na jarmarku, i Tbilisi, też na ulicy, od których odwracałem głowę. Podczas mojego rocznego stażu naukowego na ETH (Politechnice) w Zurychu, byłem zaproszony na przyjęcie urodzinowe jednego z profesorów tej uczelni. Studenci podarowali mu utuczone jagnię. Skąd im przyszedł do głowy ten pomysł? Czy nie było w tym jakiegoś śladu Starego Testamentu? Profesor nie był zootechnikiem, zajmował się roślinami. Całe sobotnie popołudnie nie on (solenizant) był duszą przyjęcia w ogrodzie, tylko to jagnię. W poniedziałek oddał je do rzeźni, świadczącej też takie usługi dla rolników (to bym nawet mocniej zaznaczył), a w następną sobotę zaprosił znowu wszystkich na spożywanie tego jagnięcia. Najwyraźniej nie chciał popełnić grzechu bałwochwalcstwa.

Dołączyłem do tego artykułu trochę faktograficznej aparatury, jak to pięknie nazywają historycy i inni humaniści w swoich publikacjach, aby podkreślić, że nie jest tak, że problemu nie ma. On jest, tylko zasłonięty spowszechniałą niby-normalnością. Tak (cytat za Jerzym Nowosielskim) „Przez stulecia toczy się historia Ludu Bożego. Zbrodnicza i święta”. My, ludzie, czujemy się silniejsi od naszych zwierząt. Potrafimy nimi władać, zmuszać do niewolniczej pracy i karać, chociaż to one są często od nas większe i silniejsze, a nawet czasem niebezpieczne. Później to wszystko powtarzamy w naszym życiu międzyludzkim. Można by więc powiedzieć, że miarą naszej osobowości, a nawet miarą naszej cywilizacji, jest nasze postępowanie ze zwierzętami. Jeżeli będziemy nietolerancyjni i okrutni wobec zwierząt, to łatwo możemy być tacy sami wobec ludzi. Problem jest więc znacznie szerszy i głębszy niż tylko zootechniczny.

Konferencja naukowa Lublin-Lwów

„Produkcja mleka w gospodarstwach farmerskich Polski i Ukrainy – stan obecny i przyszłość” to tytuł konferencji naukowej, zorganizowanej w Lublinie i Lwowie w dniach od 22 do 25 czerwca br. Pomysłodawcą zorganizowania polsko-ukraińskiego spotkania był prof. Zygmunt Litwińczuk z AR w Lublinie. Konferencja mogła się odbyć dzięki zaangażowaniu or-

ganizatorów z Akademii Rolniczej w Lublinie, Państwowej Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, współorganizatorami były także Komisja Rolnictwa PAN Oddział w Lublinie oraz Sekcja Chowy i Hodowli Bydła PTZ. Pierwsza część konferencji odbyła się w Polsce (22 i 23 czerwca), natomiast druga – na Ukrainie (24 i 25 czerwca).

Uroczystego otwarcia konferencji dokonał prof. Zygmunt Litwińczuk. Powitał wszystkich uczestników konferencji, w tym: 16-osobową delegację z Ukrainy na czele z prof. J. Kyryliwem, prorektorem Państwowej Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie oraz zaproszonych gości, między innymi: konsula generalnego Ukrainy – I. Hrycyka, dyrektorów Wydziałów Rolnictwa i Ochrony Środowiska Urzędu Marszałkowskiego – Z. Babkiewicz i Urzędu Wojewódzkiego –